

# Czerwone buciki.

---

Była sobie mała dziewczynka, bardzo uboga i ładna, nazywała się Karusia. W lecie chodziła boso, a na zimę miała duże drewniane saboty. Ale w tych było jej zimno, o zimno! Aż małe nożyny stawały się całkiem czerwone.

Pocziwa szewcowa ulitowała się nad nią i ze starej czerwonej chustki uszyła jej pantofelki. Były brzydkie i niezgrabne, ale z dobrego serca pochodziły i dziewczynka ucieszyła się niezmiernie.

Właśnie iść miała za pogrzebem matki, kiedy szewcowa przyniosła jej ten podarunek; włożyła je natychmiast na bosc nożyny i szła tak ucieszona, iż zapomniała zupełnie, że w ubogiej trumnie spoczywa jej matka.

Jakaś niemłoda pani jechała powozem i zdjęła ją litość nad biedną dziewczynką. Rzekła więc do proboszcza:

— Zabiorę tę małą, chcę się nią opiekować.

Zrobiła to przez dobroć, lecz Karusia pewną była, że tak ją zachwyciły czerwone trzewiczki. I później tak myślała, chociaż dobra pani powiedziała, że są szkaradne i kazała je spalić.

Odtąd Karusia była zawsze czysto i porządnie ubrana, uczyła się czytać, szyć i wszystkiego, co jest dziewczynce potrzebne, a ludzie mówili o niej, że jest ładną.

Lecz Karusia wierzyła temu, co jej mówiło zwierciadło, a ono jej szeptało co chwila zdradziecko: — Jesteś piękną, prześliczną, najpiękniejszą w świecie!

Raz przyjechała do miasta królowa z małą córeczką i stanęły w zamku. Ciekawi ludzie zbiegali się zewsząd, żeby zobaczyć i królowę i królowną, ale najwięcej po to, żeby się przekonać, jak obie są ubrane. I Karusi o to najwięcej chodziło, to też nie wiedziała, co robić z radości, gdy ujrzała na ganku młodzieuchną królowną, bez korony i berła, lecz w białej sukience i czerwonych bucikach.

Cóż na świecie równać się może z czerwonymi bucikami!

Karusia marzyła o nich bez ustanku.

Wyrosła wreszcie, stała się panienką. Zbliżał się dla niej dzień niezmiernie uroczysty, kiedy miała przystąpić do pierwszej komunii. Ksiądz tłumaczył jej długo święte obowiązki względem Boga i bliźnich, które od tej chwili spełniać powinna chętnie i świadomie; — dobra pani ucałowała ją jak matka. Dostała nową suknię i poszły obydwie do sklepu szewca po buciki.

Karusi aż się w głowie zakręciło, gdy ujrzała w szklanych szafach dookoła tyle bucików zgrabnych, świecących, prześlicznych. Dobra pani nie mogła doznawać tej przyjemności, gdyż była już wiekową i słabo widziała. A pośrodku stało para najpiękniejszych pantofelków z czerwonej skóry, takich, jak miała królowna. Szewc zrobił je także dla jakiejś księżniczki, ale były za małe.

— Czy to lakierki? — zapytała dobra pani. — Tak się świecą!

— Nie lakierki — odpowiedziała Karusia. — Na moją nogę doskonale!

I dobra pani kupiła śliczne pantofelki, nic nie wiedząc, że są czerwone, gdyż nie byłaby nigdy pozwoliła w takim dniu uroczystym ubrać się Karusi w czerwone pantofelki do kościoła.

Kiedy szła, wszyscy ludzie patrzyli na jej małe nóżki i cieszyło ją to niewypowiedzianie. W kościele o niczem innym też myśleć nie mogła, zdawało jej się nawet, że wykute twarze na nagrobkach w przedsionku patrzą na jej nogi, że o nich tylko śpiewają na chórze, że dlatego jest dzisiaj cała uroczystość i całe święto. Święto czerwonych bucików!

Po południu dobra pani dowiedziała się od ludzi, że Karusia była w czerwonych bucikach w kościele i gniewała się o to bardzo. Tłumaczyła dziewczynce, jak jest lekkomyślną i zapowiedziała, żeby odtąd nigdy

nie ważyła się w nie ubrać do kościoła.

Następnej niedzieli poszły znów na nabożeństwo. Karusia przedtem oglądała długo czarne buciki, następnie czerwone, i znowu czarne, w końcu — włożyła czerwone.

Dzień był prześliczny, ale trochę kurzu, to też zanim doszły do bramy cmentarza, trzewiki były dobrze zapylone. W bramie stał jakiś staruszek o kuli z długą rudą brodą i spytał z ukłonem, czy może dobrej pani oczyścić buciki? Karusia podstawiała zaraz swoją nóżkę, ale starzec spojrzął na nią jakoś dziwnie i mocno potrząsnął głową:

— Piękne pantofelki do tańca! — powiedział. — No, siedźcie mocno!

I uderzył je ręką po podszwie.

Dobra pani za tą usługę wsunęła ubogiemu w rękę parę groszy i nie wiedząc o niczem, weszła do kościoła z wychowanką.

Znowu ludzie patrzyli na maleńkie nóżki i czerwone buciki, patrzyły na nie wszystkie twarze świętych i sam ksiądz przed ołtarzem. Karusia sama patrzyła co chwila na końce swoich nóżek i nie mogła się modlić, ani myśleć o niczem innym, nie słyszała nawet, co się dokoła niej dzieje.

Bo w sercu miała tylko czerwone buciki.

Skończyło się nareszcie nabożeństwo, wszyscy wyszli z kościoła, powóz dobrej pani oczekiwał na nią i wsiadła zaraz, gdyż czuła się trochę zmęczoną. Karusia chciała wsiąść także, lecz żołnierz o szczudle z rudą brodą, spojrzął na jej pantofelki i zawołał:

— Patrzcie, jakie ładne buciki do tańca!

I Karusia już nie mogła się powstrzymać i musiała tańczyć zaraz przed kościołem, choć jej wstyd było ludzi. Nogi podnosiły się same i tańczyły bez końca, aż woźnica zszedł z kozła, złapał tańczącą Karusią i zaniósł do powozu. Dobra pani czemprowadziej zdjęła jej buciki i dopiero wtedy nogi uspokoiły się zupełnie.

Odtąd zamknięto w szafie czerwone buciki, lecz Karusia często do nich zaglądała i nie mogła nigdy dosyć się napatrzeć.

Tymczasem dobra pani zachorowała ciężko i mówili doktorzy, że już wyzdrowieć nie może. Potrzebowała jednak troskliwej opieki, a nie miała nikogo z krewnych. Ale miała Karusią, którą wychowała przecież od dziecka jak matka rodzona, więc mogła się spodziewać, że ta wychowanka odwdzięczy jej się teraz.

W tym samym czasie przypadał bal w mieście, na który już od dawna Karusia była zaproszoną. Czyż miała się wyrzec zabawy? A czerwone buciki?

Poszła do zamkniętej szafki, wyjęła pantofelki, oglądała je długo, przymierzyła wreszcie i już zdjąć nie miała siły. Ubrała się przedziutko i wybiegła z domu, nie myśląc o obowiązku i o chorej, pocziwej swojej opiekunce.

Tańczyć tylko, tańczyć, tańczyć w czerwonych bucikach!

Lecz źle jej się powiodło: już nie miała swojej woli, nogi jej nie słuchały. Gdy chciała na prawo, buciki zawracały ją na lewo, do drzwi, ze schodów, prosto na ulicę; — tańcząc, biegła przez miasto, aż do ciemnego lasu i tu tańczyła jeszcze bez końca, bez końca!

W lesie ciemno, ponuro, a wrócić nie może. Coś zajaśniało pomiędzy drzewami — czy to księżyc? Nie, to ubogi staruszek na szczudle, z rudą brodą, stoi oparty o drzewo, patrzy na nią i kiwa głową.

— Co za prześliczne buciki do tańca!

Teraz Karusia przelękała się już nie na żarty, chciała zdjąć pantofelki, ale — ani sposób: przyrośnięte do nogi! Zerwała pończochy, a buciki zostały i nie mogła przestać tańczyć ani na minutę.

Przebiegła las, tańcząc, potem pola, łąki; tańczyła w dzień i w nocy, podczas burzy i upału, ale w nocy najgorzej było.

Zmęczyła się już strasznie, nogi ją bolały, a tutaj ani chwili wypoczynku. Schroniła się na cmentarz, lecz i tu tańczyć musi pomiędzy grobami; chce usiąść na którym, — napróżno, nadaremnie! Ach, choćby w kościele chwilę wypoczynku!

Ale we drzwiach świątyni ujrzała białego anioła, ze skrzydłami u ramion i mieczem w prawicy, jak anioł we drzwiach raju.

— Idź sobie tańczyć — rzekł jej głosem smutnym — skoro nic niema dla ciebie na świecie oprócz zabawy i stroju! Idź tańczyć — dodał groźnie — skoro nie pamiętasz...

Dalej nie słyszała, gdyż czerwone buciki uniosły ją tymczasem z przed kościoła na drogę, het, przez pola, dalej, dalej, dalej, jak wiatr, kręcący się w kółko bez końca.

Wtem usłyszała smutny śpiew i dzwony: ze znanego jej domu wynoszono trumnę, obsypaną kwiatami. Dobra pani już nie żyła!

Wtedy Karusia pojęła, dlaczego anioł Boży nie wpuścił jej dziś do kościoła. Była przeklętą, przeklętą, przeklętą! Sam Pan Bóg ją odtrącił od swojego progu.

Ale tańczyć musiała. Tańczyć w dzień i w nocy, po ostrych cierniach i twardych kamieniach, które jej nogi krwawiły boleśnie.

Ach, wypoczyнку!

Wtem ujrzała domek, stojący na uboczu w ciemnym lesie. Zapewne kat tu mieszkał.

Zapukała w okno.

— Wyjdź, wyjdź do mnie! — wołała. Ja wejść nie mogę do ciebie, muszę tu tańczyć, tańczyć bez wytchnienia.

— Nie wiesz chyba, kto jestem — odpowiedział jej głos z chaty — że pukasz do mnie. Ja ścinam ludziom głowy, jeśli zasługują na to; czy słyszysz, jak mój topór zadzwonił na ścianie?

— Nie ścinaj mi głowy — rzekła ze smutkiem Karusia — bo chcę pierwej odpokutować za grzechy, ale utnij mi nogi, żebym nie tańczyła więcej, utnij razem z czerwonymi bucikami.

I kat uciął jej nogi razem z czerwonymi bucikami, które nie zatrzymały się ani na chwilę, ale tańczyły dalej, unosząc przez pola małe nóżki Karusi.

A kat wystrugał jej nogi drewniane, niebardzo zgrabne, ciężkie, które szły powoli i chętnie się zatrzymywały. Nauczył ją także psalmu pokutnego, jaki śpiewają grzesznicy od czasów króla Dawida, i poszła Karusia przez step, przez las, przez pole.

— No, teraz wycierpiałam już dosyć za grzechy — pomyślała. — Pójdę wreszcie do kościoła, żeby widzieli ludzie, że jestem pobożną i że Bóg mię nie odepchnął.

I skierowała się w stronę kościoła, ale przy bramie czerwone buciki ukazały się przed nią razem z jej nogami, tańcząc bez wypoczynku. Zawstydzona i przelęta i poszła znów w inną stronę.

Tak upłynął cały tydzień. Karusia płakała i smuciła się bardzo, — lecz w niedzielę pomyślała:

— Teraz już napewno nacierpiałam się dosyć. Tyle łez wylałam! Bóg mi przebaczył, niech to wszyscy widzą.

Lecz przed kościołem czerwone buciki tańczyły znowu. Kiedy je ujrzała, zakryła oczy i uciekła prędko, bo poznała ciężkie swe winy.

Usiadła w ciemnym lesie i myślała nad sobą długo, długo. Bóg i ludzie wyświadczyli jej tyle dobrego, a ona czy spełniła chociaż jeden obowiązek? Co dobrego zrobiła w życiu? Co dobrego?

Przed wieczorem zapukała do plebanii i prosiła pokornie, aby ją przyjęto do służby. Obiecała pracować pilnie i wytrwale, nie dla pieniędzy i nie dla nagrody, lecz żeby dach pocziwy mieć nad głową i dobrych ludzi koło siebie.

Zlitowano się nad nią i wysłuchano jej prośby. Służyła więc na plebanii, pracowała, modliła się i rozmyślała nad sobą i swoją winą.

W niedzielę poszli wszyscy do kościoła, lecz ona iść nie chciała. Ze łzami w oczach patrzyła za nimi z daleka, a potem zamknęła się w swojej maleńkiej izdebce, gdzie prócz łóżka i krzesła nic stanąć nie mogło, i modlić się zaczęła z głębi serca.

Wtem w uroczystej ciszy usłyszała głos organów i śpiew pobożny. Ogromne wzruszenie ogarnęło ją nagle,

ły popłynęły z oczu.

— O Boże, o Boże! ulituj się nade mną! — wyszeptała cicho. — Zlituj się, Boże dobry!

Jakaś ogromna światłość zajaśniała przed nią. Podniosła oczy: ach, to anioł Boży o jasnych skrzydłach! Ale zamiast miecza w ręku ma różdżkę zieloną, kwitnącą, pełną róż świeżych. Dotknął nią sufitu — i ten się podniósł w sklepienie wysokie i okrył złotymi gwiazdami; dotknął ścian — i rozszerzyły się na wszystkie strony i ujrzała przed sobą znany ołtarz, księdza, znane obrazy, ławki, kościół cały, pełen modlących się, pobożnych ludzi.

Czy kościół przyszedł do niej, do małej izdebki? Czy ją na skrzydłach przeniósł anioł Boży?

Nic nie wiedziała i nic nie widziała. Była szczęśliwą tylko, była pewną, że Bóg przebaczył jej winy i znowu ma Ojca w niebie i braci na ziemi.

Dobry Bóg, miłosierny!

Organy brzmiały uroczyście i poważnie, chór głosów ludzkich płynął pod sklepienie, słońce świeciło tak jasno i ciepło przez wysokie okna, a złote blaski padały na ławkę Karusi. I była tak szczęśliwą! Zbytek radości przepęłniał jej serce i wielka miłość Boga, miłość ludzi i tyle uczuć, że ach, nie pomieści ich serce ludzkie!

Serce Karusi pękło ze zbytku radości, a dusza popłynęła spokojnie po jasnych promieniach słońca wprost aż przed tron Boga. Tam będzie szczęśliwa, — czerwone bućki nie staną nigdy więcej na jej drodze.